Rozmaitości

Dnia 24. Lipca N^er. 30. Roku 1841.

POWIEŚĆ Z ŻYCIA

PRZEZ

WINCENTEGO POHLA.

Co się uczuło głęboko i skrycie,
To też przechodzi i w czyny i w życie.
Ściśnij i wyświeć, co ci świat przysądził,
A czyś szedł prosto, czyś po drodze błądził,
Byle to było czyste i poczciwe,
To będzie dobre a może szczęśliwe!

* * *

Byłoto w czasie zapust: zwaliste śniegi pokrywały ziemię, mróz się sadził, gąty strzélały na dachu, lekkim szronem ku słońcu iskrzyło się powietrze, okiść była na wysokim lesie, i ciemne bory sosnowe mierzchły po nad Wisłą. W godzinie po zachodzie słońca zerwał się wichr z północy gwałtowny i nagły, miótł śniegiem, kręcił młyńcem i odwalał zaspy. Śród borów, na wyniosłém zabrzeżu wznosił się dwór starożytny i przeziérał czasem śród zamieci, dwór zagajony krzewiem i starémi drzewami.—Wszystkie drogi i przekopy zawiało; w dziedzińcu było pusto; we dworze, lubo dopiéro z wieczora, nie było światła; od czasu do czasu wylatywały psy z budy, wyły i szczekały na wiatr, stare lipy skrzypiały nad dworem, jak széroki żłób ciągnęło się opodal koryto Wisły i stłumiony łoskot strzélających lodów dolatywał z-dala.

»Ostrożnie z ogniem!« zawołała straż nocna, ujrzawszy, że się z-dala coś po drodze czerni.

»Ot czego wrzeszczysz Bartku? a siedziałbyś w budzie«, rzekł drugi z warty.

»Czego wrzeszczę? abo to nie widzisz, że się coś tu drogą wlecze?«

»To wikle tak się czernią po śniegach.«

»A licha tam wikle, kiedy coś wioka!«

W istocie jechały drogą ku dworowi powozy. Na przedzie szedł powóz cztéro-konny na kołach, noga z nogi. Powóz zapadał co chwila w śnieg głęboko, wtaczał się na zaspy i groził wywrotem; za nim szło troje sani. Wjechały w dziedziniec i stanęły przed dworem. Psy darły się na powóz; z niecierpliwością wyskoczył z niego ktoś raźnie i wołając na psy: sa Rozbój! sa Tyran! szedł ku drzwiom. Drzwi były zamknięte.

»Pukaj Marcinie, bo tu widzę, śpią już wszyscy!« zawołał ktoś gniewnie, a ośmiu innych mężczyzn wysiadło tymczasem z powozu i z sani. Próżno chodził Marcin na około dworu, stukał do okien i drzwi i wołał po imieniu. Nikt się nie odezwał. Tymczasem podeszli z cicha wartnicy podsłuchując z po-za węgła, co się święci.

»Ta to sam pan przyjechał!« rzekł jeden z nich, kiedy już pan na wartnika zawołał.

»Co to, czy tu wymarli wszyscy we dworze, że się nikt nie głosi?« zapytał.

»Jaśnie panie! jak to przy święcie i w zapust« rzekł wartnik, »rozeszli się wszyscy po wsi i po karczmach, bo we wsi trzy wesela.«

Więc gniew i krzyk: »Swiatła, wołaj, budź, pytaj, posyłaj!« a tu ciemno i zimno, i nie ma kim się popchnąć, ani sposobu dostać się do domu. — Dostał wartnik latarni, zgasła mu ze trzy razy, zanim z oficyn przeszedł z nią do dworu, dostał i siekiéry, przyświécili i rozbili drzwi, ba drugie i trzecie. W domu ciemno i zimno, od dni kilku niepalono. Wrotny był w karczmie, stary marszałek dworu i kucharz poszedł na wieś do żony, ekonom wróciwszy z lasu przeziębły spał już od dawna, pisarze pojechali w sąsiedztwo na karty do pana sędziego, klucznica była w blizkiém miasteczku na balu, strzelcy z lokajami wodzili rej na weselach, a stara służba kuchcików i forysiów rozlazła się gdzieś po dziurach i spała lub piła.

W wielkiej sali postawił wartnik latarnię na stole.—»Otóż to miła rzecz!« rzekł jeden z przybyłych mężczyzn chodząc po wielkiéj zimnéj sali tam i sam. »Otóżto miła rzecz! gdzie ja was tu przyjmę i pomieszczę, wszędzie zimno,

chyba chodźmy i my na które wesele, albo jedźmy na bal za Dykasińską.«

W największéj trwodze przyleciał z oficyn po chwili zadyszały ekonom, przepraszał i tłumaczył; pan klał i wymyślał na niedozór i nieład.

Każdy człowiek ma słabości; nasz gospodarz domu pan Władysław miał tę słabość, iż go w największy gniéw wprawiało to, jeźli przyszedł lub przyjechał do domu, a nie zastał światła. Dobrze wiedział o tém ekonom, więc świécl — ale czém tu świécić, kiedy wszystko zamknięte, a ludzie w rozgonie! — Przypomniał sobie w téj tarapacie, że w narożniku w zwiérciadlanym pokoju stały wiecznie, wielkie srébrne świeczniki z woskowémi świécami, które podobno jeszcze od śmierci nieboszczyka pana, służby nie czyniły. Poskoczył tedy po omacku, przewrócił kilka krzeseł po drodze, zawadził o kilka stolików, ale przyniósł dwa świeczniki i zapalił je u latarni. W każdym z nich było po sześć świéc. Władysław ochłonał nieco z gniewu.

»No! świéć pan do mego pokoju«, rzekł już nieco łagodniéj, »niech przynajmniéj ciemno nie będzie.«

»Niech Jaśnie pan przebaczy«, mówił ekonom, »to wszystko będzie zaraz; moja żona zajmie się kolacyją, na kominek kazałem już wartnikowi drew przynieść, tymczasem w piecu się zapali, a tych hultai skarcę ja, jak należy. Zaraz wszystko będzie!«

Ktoż nie zna, czegoto nie może doraźna rączość! Gdyby ekonom mógł miéć wiecznie taką energiję, jak kiedy kawalera i młodego pana w folwarku przyjmuje, lub w długą podróż z domu wyprawia, możnaby się z nim na śmiało dochodem z dóbr podzielić. Tak długo tedy kręcił się w pokoju, dopóki cztérech wielkich świeczników nie zapalił i żwawego ognia na kominie nie wzniecił, a potém wpadł do oficyn, rozbił spiżarnię i polecił żonie staranie naprzód około herbaty, a potém około wieczerzy, sam zaś na oklep na konia, i na wieś, i tego i owego, i prośbą i groźbą; zbudził starego marszałka, kucharzowi kazał sieść na konia, dworskich nastraszył przy tańcach, i ledwo nie pół wsi spędził na służbę do dworu. Nie minęło pół godziny, a w całym dworze i w oficynie były już światła i ognie wszędzie, mnóstwo ludzi i służby, a wszystko w takim ruchu, jak gdyby dziś jeszcze być miała wielka uczta we dworze.

Stary marszałek nieboszczyka pana struchlał, ujrzawszy drzwi od dworu wyważone, a w dwóch innych zamki oderwane, a bardziéj jeszcze ujrzawszy wszystkie cztéry świeczniki w sypialnym pokoju pana; począł sobie mruczéć pod nosem i kazał pościérać służbie prochy w pokoju.

Przybyli podróżni rozgościli się tymczasem, dokoła komina obsiedli stolik okrągły; pokój ogrzéwał się z każdą chwilą więcéj: goście pili herbatę, palili lulki i rozpoczęli gawędkę męzką; jeden gospodarz tylko siedział zamyślony i milczący. — Kto nas zna, ten pojmie, że dosyć po obozowemu wyglądała ta grupa mężczyzn przy kominie w fantastycznych rannych strojach rozłożona. Ten z perska w tyftykowym pstrym żupanie, tamten z krakowska w sukmance, ów znowu niby z myśliwska w kurcie, w burce, w lisiurze, w futerku, w jedwabiu lub nareszcie w ruskiéj opończy na opaszki, w pasach i szalami przepasani, na głowach w feskach złotych, czapeczkach i furażerkach wojskowych, z bursztynem lub cygarem w uściech, a wszyscy młodzi i rześcy, a każdy siadł sobie, légł na wpół, lub rozparł się tak pięknie, że go tylko maluj. Pokój był duży, raczéj do sali podobien, część jego wyglądała jak namiot Beduina. Ściany były bogatémi makatami zawieszone, do nich przypiérało nizkie posłanie niby do rzymskiego łoża, niby do wschodniéj otomany podobne, tyftykiem i haftowanémi poduszkami zarzucone, na ziemi dywany, nad łożem i na całéj ścianie połyskiwały fantastycznie zawiészone myśliwskie przyrządy i bronie, wschodnie zbroje i starożytne bogate rzędy, szable i misiurki. W głowach wisiał stary w złoto oprawny krucyfiks ze słoniowéj kości, jakaś minijatura, na boku dwa obrazy olejne, a niżéj nieco niby na doręczu wisiała karabela w jaszczur oprawna za rapcie. Jeden z tych obrazów przedstawiał widok gór Świętokrzyskich w oddaleniu; drugi część jakiegoś ogrodu, a w samym przodzie staw i kilka łabędzi tuż przy brzegu; małe czółenko przypiérało o kępę szuwarów, w niém stała jakaś postać niewieścia, ale z szuwaru wyglądała tylko biała ręka ku łabędziom zwrócona, jeden z nich podsunął się bliżéj i chwytał jakiś żér po wodzie, znać, że go ta ręka karmiła. — W drugim końcu sali zdawało się być mieszkanie Muz, zielone zasłony okrywały tutaj okno; — na wielkim zielonym stole, przy którym duże wygodne krzesło stało, leżały ryciny, rysunki, papiéry i księgi bardzo porządnie ułożono; obok stały szafy śklanne z książkami, na nich modele narzędzi rolniczych, kilka kart jeograficznych na jednéj ścianie, a na drugiéj mała galeryja olejnych obrazów mistrzowskiego pęzla. Po czole i pięknéj ręce, na któréj się nie w ziemskiéj boleści ta głowa oparła, poznałem na piérwszy rzut oka B a j r o n a; obok niego w znacznie mniejszych ramach S z e k s p i r a R o m e a i J u l i ję, na nich niby z góry poglądał w apoteozie S z y l l e r, a niżéj nieco spostrzegłem

Mickiewicza. Tyle czucia i poezyi przemawiało z tych kilku twarzy do mnie, żem od nich oczy odwrócił. Nad kominem stał w naturalnéj wielkości jakiś poczciwy stolnik krakowski, antenat naszego gospodarza w rysim kołpaku i sobolowéj ponsowéj delii, trzymał prawą rękę na krucyfiksie, a lewą sparł na szabli; całe zaś dwie ściany były założone obrazami, na które zawsze spojrzéć miło chcąc się pocieszyć po widoku owego smutnego czoła nad zielonym stolikiem, bo były-to wizerunki ślicznych koni arabskich i walnych bitew Napoleona. W środku prawie pokoju, na prost środkowego okna stał fortepijan, a obok niego przed oknem na małym w pułkach spiętrzonym stoliczku stały doniczki z kwiatami. Zresztą prócz wielkiéj sofy w kształcie podkowy, a przed nią okrągłego stołu, nie było nic więcéj w pokoju; bo nawet siedzenie przy kominku urządzono na prędce z dwóch sof i kilku skórzanych poduszek na sposób oryjentalny. Fantastyczny układ tego pokoju i tego towarzystwa był w dziwnéj zgodzie z postawą i wyrazem twarzy gospodarza. Wysmukły, piękny, czarniawy, szlachetnych, łagodnych lecz pewnych poruszeń, smagléj twarzy, bladego czoła, czarnych oczu, które nigdzie daremnie nie padły. Dwa rysy wybiły się widoczniéj na téj twarzy: wyraz spokojnéj odwagi i długo w sercu noszonéj boleści, ztąd téż przemawiało z niéj jakieś uczucie wyższéj samotności ducha, która czasem w demoniczéj grze oczu, dziwnie uroczém światłem zajaśniała. Kto patrzéć umié, mógł głęboko przez te oczy zajrzéć do duszy; towarzysze jednak jego patrzyli w ogień, w szklanki herbaty, na dym z lulek, gawędzili wesoło, śmiali się serdecznie i t. d. Bylito jego sąsiedzi i nie sąsiedzi, początkowi gospodarze i nie początkowi gracze, dzierżawcy, dziedzice i myśliwi, ex-eleganci, ex-literaci, ex-wojskowi, *vulgo* młodzież obywatelska. Gospodarz siedział między nimi i od przyjazdu nie rzekł ani słowa. Drzwi się otworzyły i w futrze odziany wstąpił do pokoju człowiek poważny z małą latarką w ręku.

»Ksiądz proboszcz dobrodziéj!« zawołał gospodarz i zerwał się od kominka, odebrał latarkę, zdjął futro i uściskał przybyłego. »Cóżto tak późno księdza proboszcza sprowadza?«

»Co? mnieto pytać należy Asindzieja«, rzekł proboszcz. »Wszakżeśto odjechał na całą zimę i wracasz tak prędko?«

»Proszę siadać«, rzekł gospodarz.

Tu nastąpiły rekomendacyje, trochę ceremonii, i w końcu usiedli, a ksiądz proboszcz rzekł: »Skończywszy pacierze, miałem się już do snu ułożyć, wtém spojrzę ku dworowi, w oknach światła, z latarniami snują się ludzie po dziedzińcu—pytam: co to znaczy?—»pan przyjechał« mówią mi, dziesięć sani zajechało z gośćmi na dziedziniec, siekierami rozbili drzwi, i wielki bal we dworze, a kiedy bal, a nie proszą, myślę sobie, toć samemu pójść trzeba, otóż więc jestem. A w istocie byłem niespokojny, czy Asindzi dobrodziéj nie poniosłeś szwanku w drodze, że tak rychło powracasz? Zresztą choć bal, myślę sobie, ale może jeść nie będą co mieli, bo ludzie po weselach; Asindzi dobrodziéj wyjechałeś na długo, więc przybywam w sukurs ze spiżarnią moją.« Władysław uściskał księdza proboszcza, dziękując mu za uczynność sąsiednią i opowiedział mu potém, jak za poradą jego wyjechawszy na zapusty do Krakowa, ustrzągł dla wielkich śniegów w Tarnowie, wybrawszy się jeszcze koczem za kołowéj drogi, jak tam go przyjaciele w towarzystwo dam wciągnęli, które dla sprawunków do miasta przybyły, jak go zaproszono na wesele „jak już zaniechał myśli jechania na zapusty do Krakowa, jak się stęsknił za domem; mówił, że jutro z całém towarzystwem na wesele do państwa hrabstwa wyjéżdża, a w końcu żalił się na nieład, jaki zastał, na zimno i ciemno, a zakończył wykrzyknikiem: »Nié ma to jak w domu siedziéć!«

Z dobrocią uśmiéchał się ksiądz proboszcz i kiwał głową słuchając całego opowiadania, a w końcu dodał: »Żenić się potrzeba, żenić! to, co ja zawsze mówię.«

Towarzystwo podzieliło się tu w zdaniach, jedni byli za ożenieniem, a drudzy przeciwko—i bardzo naturalnie, bo połowa towarzystwa należała do ludzi lubiących wieczną gościnę, zabawę męzką, próżniackie pogadanki, włóczęgi, polowania, na których nie biją zwierzyny, jarmarki, gdzie nikt nic nie kupuje, kompromisy, gdzie piękna gra bywa — należała do ludzi, którzy się w domu nudzą, a w cudzym domu są dopiéro jak we własnym żywiole, którzy posiadają tam osobliwy talent do improwizowania szumnego towarzystwa i toastów, do urządzania śniadań, obiadów, herbat i podkurków o każdéj godzinie dnia i nocy, którym wszystkie konie, wszyscy posłańcy i wszyscy służący całéj okolicy służą; tacyto mieli wyborną gospodę w domu Władysława, a lubo on nie smakował w ich towarzystwie, jednak, że miał wrodzoną gościnność, że żył samotnie, stał się dom jego w końcu karczmą, czy obozem.

»Asindzi dobrodziéj nie zbędziesz się inaczéj téj hołoty nieprzyzwoitéj«, mawiał ksiądz proboszcz, »tylko potrzeba się wynieść na czas niejaki z domu, to oni upatrzą sobie inną tymczasem gospodę, albo potrzeba się ożenić, to oni

pod do domu straca. Za poradą też księdza proboszcza, wyjechał był Władysław w piérwszą podróż po trzech latach pobytu na wsi, która mu się nie powiodła. — Jako były wojskowy przywykły do ruchu polubił on polowanie, osiadłszy samotnie na wsi, ale nie lubiał pijatyki, lubiał i chował piękne konie, ale nie lubiał jarmarcznéj wrzawy; lubił porządek i książki, kwiaty i ogród, nie lubił junakeryi, bo miał istotną odwagę, nie lubił kart, bo umiał się zająć szlachetniejszém zatrudnieniem; — w takiém tedy towarzystwie, które cały jego sposób prowadzenia się naganiało, żartem czy nie żartem, czuł się Władysław, co się zowie nieszczęśliwym i uciśniętym. Byli jednak i między nimi ludzie lepsi i czystsi, którzy go przynajmniéj w części pojmowali; z tymi żył ściśléj, przychylał się zwolna do nich, sprowadzał na lepsze drogi, ci życzyli jego ożenienia, i tacyto przyjechali z Władysławem tą razą do niego.

»Łatwo to mówić« rzekł w końcu Władysław »żeń się! łatwo to mówić — ale jak? ale z kim? ale po co? kiedy nie pragnę szczęścia, o którém mi mówicie, kiedy go nie znajdę! kiedy nic mnie nie nagli, żaden pociąg, żadna chęć, żadna obawa ani nadzieja! Kiedy wiém, że takiego szczęścia nié ma dla mnie!«

»Albożto Asindzi dobrodziéj nie jesteś poczciwym człowiekiem, żebyś się nie miał żenić i być jeszcze szczęśliwym ożeniwszy się?« zapytał ksiądz proboszcz.

»Właśnie dla tego, że się mam za poczciwego, i że wiém ilebym przyszłéj méj był winien, nie ożenię się, bo czuję to, żebym jéj nie mógł uszczęśliwić — żebym jéj nie mógł kochać.«

»A to dla czego?« zapytali wszyscy razem.

»Bom kochał — bo kocham jeszcze!« rzekł po chwili Władysław, »a nigdy więcéj nie czuję tego, jak w ówczas, kiedy mi kto o ożenieniu mówi.«

Tu rozświéciły się Władysławowi oczy — bo są ludzie, którym nie można odmówić głębokości i rzewności uczuć, a których jednak nie można sobie wyobrazić zakochanych, kiedy już ten czas dla nich przeminął; do takich należał Władysław. — Tutaj podzieliły się znowu zdania:

»Słuchajcie« zawołał Władysław, »ażebyście mnie mogli osądzić, potrzeba znać całe życie moje, moję przeszłość, młodość moję. To, co dla mnie jest prawdą, może nie jest prawdą dla drugiego, ale we mnie stało się to przekonanie moje niezłomną koniecznością. Życie moje poszło krzywo, lubo widzi Bóg, żem go nie skrzywił sam. Cała przeszłość moja jest mi w téj chwili tak obecną, iż cieszę się, że nie jestem sam, bobym może zapłakał, a łzami pogardzam, bo czuję w sobie natchnienie siły. Obraz nieszczęśliwego stadła widziałem w mych rodzicach: ojciec mój był człowiek bogaty, gwałtowny i dumny; ożenił się dla majątku i połączeń familijnych, nie dbał o matkę moję, obchodził się z nią źle i nieludzko, podróżował, kochał się całe życie i grał namiętnie w karty, tracił fortunę i stracił wszystko. Dom jego był na wielką stopę urządzony, jeden z piérwszych domów w Warszawie. Tam wykarmiła mnie matka moja łzami; patrząc w jéj krwawe oczy i na przepych i nędzę wielkiego świata, wyrosłem śród uczuć wrzącego serca i spazmowych boleści. Cierpiałem nad nieszczęściem matki mojéj, a nie mógłem potępiać ojca, bo mnie kochał niby namiętnie, kiedy sobie czasem przypomniał, że ma syna. Dom mojego ojca był podobny do szczątków szumnego karnawału: lichwiarze, podchlébcy, gracze, burdy, wojażery, strojni panowie i piękne panie, snuły się jak maski przed oczyma mémi; każda szeptała mi coś do ucha, a każda coś innego. Takie sceny szumnego życia przerywały tylko okropne chwile gwałtowności lub rozpaczy ojca mojego, kiedy fortuna nikła, kiedy się zgrał, kiedy go rankami szarpali lichwiarze. W rozpaczy tedy tylko ojca i we łzach mojéj matki poznawałem prawdę życia... Nie raz pamiętam, pytała mnie matka, kiedy miała iść do salonu, gdy gości zapowiedziano: »Władzin! czy oczy moje jeszcze czerwone? czy ja wesoło wyglądam?« — bo starannie kryła nieszczęście swoje przed światem, nie dla świata, ale dla ojca, który zawsze mówił, że trzech rzeczy najbardziéj nie cierpi na świecie: łez, lichwiarza i kulfona dukata. W takim świecie wyrosłem do lat 13, nie pojmując właściwie, czy życie jest balem maskowym, czy torturą! W tym właśnie czasie przyciskali dłużnicy ojca mego najmocniéj, znał on dobrze stan swojego majątku, i nie chciał czekać krydy. Nie chciał patrzyć w kraju na upadek swojego znaczenia, bez którego nie widział dla siebie żadnéj przyszłości. Zabrał tedy śrébra, klejnoty matki, zrobił kilka długów i wyjechał do Paryża, gdzie po dwóch latach w więzieniu S. Pelagii życie zakończył.

Zacny i światły człowiek jenerał M*** został opiekunem moim; wniosek matki mojéj można było ocalić prawnie — matka moja rządziła się jednak nie prawnémi ale religijnémi zasadami, spłaciła długi ojca, mówiąc: »Lepiéj, że ci poczciwe imię zostawię niż majątek.« — Nie bylibyśmy mieli żyć z czego, gdyby nam nie był wyznaczył stryj mój małéj, rocznéj pensyi na utrzymanie. Tu począł się nowy świat dla mnie, matka była z każdym rokiem spokojniejszą, a

nawet weselsza, bo żyła tylko we mnie i szczęśliwsi byliśmy w naszém ubóstwie, niż dawniéj żyjąc w pozornym przepychu i dostatku. Z dawnych przyjaciół i znajomych nikt nam nie pozostał; zamieszkaliśmy mały dworek z ogrodem na przedmieściu odległém; wkrótce stała się cała Warszawa obcém miastem dla nas, a my dla niéj.

Prócz poczciwego jenerała M*** nie odwidzał nikt domu naszego. On zajął się wychowaniem mojém, które dotąd Francuzy i kamardynery ojca mego prowadzili i dał mi za towarzysza Leona, syna przyjaciela swego. Nowy świat zeszedł przedemną: literatura i historyja, sztuki i umiejętności zajęły całą duszę moję—; uczyłem się z przyjacielem, czytywałem z matką po wieczorach książki. Miłość matki, poezyja, ogródek, samotność, przyjaźń, natura, to było życie! Zdało mi się, że dusza moja leżała długo w śnie okropnym, i żem się z niego teraz dopiéro przebudził. Po kilku leciech zdałem *examen* i zostałem na uniwersytet przyjęty. Kto żył w tamtych czasach, umié to ocenić, jak szlachetną była dążność naukowa owoczesnéj młodzieży, co za zapał do literatury, jakie pragnienie wzbogacenia wiedzy gruntowną nauką, co za pomoc wzajemna w ułatwianiu sobie dróg i środków ukształcenia się! Szczęściem wskazał mi jenerał M*** grono takiéj młodzieży i taki rodzaj towarzystwa stał się ideałem moim. Leon przewodniczył mi we wszystkiém: wiekiem starszy, nauką wyższy, z towarzystwem naukowéj młodzieży dawniéj obeznany przodkował on wszędzie; ja téż pokochałem go z całym szałem tkliwego serca, z całém urojeniem, w jakiém młodość wdzięki wiecznie-trwałéj przyjaźni sobie wyobraża. W czasie, gdym już rozpoczął zawód mój uniwersytecki, począł bywać w domu naszym czasem ksiądz Pijar B*** z jenerałem M***; przyjaciel jego, człowiek światły. Ludzi podobnych jemu, nie zdarzyło mi się późniéj widzieć nigdzie więcéj, wychodził on niby ze starożytnego świata, a jednak sięgał duchem wyżéj, niżli ów czas, który w oczach naszych był czasem najwyższego postępu. Człowiek światły jak złoty wschód słońca, poważny i przystępny jak starożytny kościółek wiejski, spokojny jak sumienie prawego człowieka, a w pożyciu taki łatwy jak młodość niewinna, a dobry jak matka. W nim ujrzałem obraz apostolskiego człowieka, religijne wyobrażenia moje nabiérały hartu. Dotąd słyszałem tylko lub czytywałem o cnocie, rozprawiałem sam nieraz o niéj, wyobrażałem ją sobie w najwyższych tylko poświęceniach, jakich człowiek jest zdolny; ale nie pojmowałem tego, żeby mogła być cicha i prostą, jak staranie około krzaku róży i ludziom w codziennych kolejach życia potrzebną i wspólną, jako chléb powszedni. Ksiądz Pijar sprowadził mnie na takie myśli, nie słowami, nie tém, co mi mówił, ale tém, o czém mi nigdy nie mówił. Zwolna naprowadzał on mnie na drogę rzeczywistości i przekonywał, że dobro nie zasadza się na tém, ażeby czekać sposobności zrobienia czegoś nadzwyczajnego, albo szukać jéj; lecz na tém, ażeby nie opuścić najmniejszéj zręczności, zrobienia czegoś dobrego. »Za cnotami nie należy gonić«, mawiał on mi często, »bo to próżność; dosyć będzie, jeżeli się znajdzie cnota, kiedy jéj potrzeba, a potrzeba jéj będzie często w życiu dla siebie i dla drugich; miéj co dać, a znajdzie się komu. Oświeconemu człowiekowi nie przychodzi trudno poznanie obowiązków, jakie ma; ale dobry tylko pełni je, jak należy. Od poznania do woli i czynu, to daleka droga. Dobrą wolę potrzeba ćwiczyć, aby silną była, to jest cała nauka i tajemnica życia i cnoty. Wy młodzi to i zginąć czasem umiécie, kiedy tego potrzeba albo i nie potrzeba, ale cóż kiedy żyć nie umiécie, bo to trudniéj.«

»Na czémże ćwiczyć tę wolę?« pytałem go.

»W pełnieniu małych, codziennych ale bardzo trudnych obowiązków, właśnie dla tego, bo przez drobiazgowość onych nie przywiązujemy do nich wielkiéj wagi, a jednak są to obowiązki, na których świat stoi—to jedno—a drugie rachować się codziennie z sumieniem. Kiedym ja był młody, uczono nas tego przy pacierzu, jak to z sumieniem się rachować należy; wam wypada to czynić według narowów waszego wieku: pisz dziennik; a od czasu do czasu odczytuj go. Jeżeli po odczytaniu rad z siebie będziesz, to dobrze; jeżeli poczniesz go staranniej chować i zamykać, to nie szukaj roztargnienia, na ówczas oddaj się pracy, staraj się zrobić coś takiego, coby doraźną korzyść bliźniemu przyniosło, a dobrych spraw twoich nie zapisuj w dziennik.« — Posłuchałem go i błogosławię dotąd pamięci jego. Dziennik ten jednak zaprowadził mnie daléj, niż z razu sądziłem. Godzinę jednę dnia lub nocy, poświęcałem mu w początkach, ale ta godzina przeciągała się z laty, i dziennik ten stał się w końcu składem nietylko wszystkich spraw moich, ale tego wszystkiego, com czuł, myślał i widział, wszystkich wrażeń i całéj pracy umysłu. Historyja i literatura, wypadki spółczesne i ustępy z wychodzących poezyj, sceny z życia przyjaciół i całe rozmowy z jenerałem M*** lub księdzem Pijarem B***, uczucia synowskiego serca i obowiazki człowieka, całe okresy z wykładu literatury słowy Brodzińskiego

i opisy posiedzeń *Towarzystwa Przyjaciół Nauk,* stały tu obok siebie w świetle wyobraźni młodzieńczéj. Przyznam się, żem miał w ówczas maniją do autorstwa, i żem nigdy nie był szczęśliwszym, jak pisząc mój dziennik. Nieraz zastałem matkę moję we łzach nad nim, i w ówczas mawiała mi: »Pod błogosławieństwem polecam ci, nie żeń się, jeżeli nie będziesz kochał, bo ty byłbyś z twojém sercem nieszczęśliwym, gdybyś nie kochał żony.« Nieraz czytywałem matce i Leonowi sam ustępy z tego dziennika; były w nim miejsca, które zajmowały Leona tak bardzo, że je sobie przepisywał i o nich częstokroć nawet w listach do swojéj siostry nie przepomniał. Bo potrzeba wam wiedzieć o tém, że Leon miał siostrę. Ja nie znałem Julii, lubom z Leonem już od lat siedmiu żył w najściślejszéj przyjaźni. Leon nie miał rodziców ani majątku, ojciec jego, który razem z jenerałem służył, polecił mu umiérając swe dzieci, a Leon żył tylko z dobrodziejstwa jenerała M*** i swéj ciotki, która piękną wioskę w sandomiérskiém miała; przy niéj chowała się Julija. Ja nie znałem Julii, ale kiedym o niéj pomyślił, dreszcz mię jakiś przejmował — nieraz mówiliśmy o niéj z Leonem; przyszło nawet do tego nareszcie, żem jéj posyłał wyjątki z mojego dziennika, żem dla niéj wiersze i nóty przepisywał na ręce Leona. Ciotka jéj, bardzo światła matrona, zbliżyła się listownie do méj matki, pisywały do siebie, i pośrednio zawiązał się między mną a Juliją bardzo ścisły stosunek, niby siostry, niby przyjaciółki —; w każdym liście do méj matki pisanym, był przypisek i dla mnie; z tęsknotą wyglądałem poczty sandomiérskiéj, i nic nie równa się szczęściu tamtych lat, każda chwila taka była pełna, wszystko potrącało do uczuć i myśli; czasem tylko we śnie zjawił mi się mój ojciec w rozpaczy, w swym świetnym oświeconym salonie, śród gości, gry i muzyki; w dali słyszałem niby płacz matki, jęk dzwonów, chrzęst kajdan i broni; to znowu głos przyjaciela kapłana, w mundurze mignął się jenerał; w śmiertelnéj boleści, blady ociężał mi Leon na piersi, czy na ręku, a Julija, któréj nigdy nie widziałem, snuła się między témi postaciami. Wysmukła, przeźroczysta i cicha jak myśl, jak mgła, jak posąg grobowy patrzała na mnie z litością. Sny takie nie bywały częste, ale okropne. Po miesiącu nie mógłem przyjść do siebie po nich, a ksiądz Pijar zapytywał: »A gdzie wiara? a gdzie filozofija? komu tu z życiem iść w zapasy, kiedy już same sny tak trwożą?« — Słowa te i myśl, że mam być podporą méj matki w starości, cuciły mnie i wiodły do pracy. Tak przeminęły lata młodości mojéj. Potrzebując służyć dla chleba, poświęciłem się umiejętności prawa, dyplomacyi i politycznéj ekonomii i ukończyłem kurs w uniwersytecie razem z Leonem. Do biura księcia ministra miał nas wprowadzić jenerał M***; lecz zdrowie moje ucierpiało znacznie w ostatnich dwóch latach, bom z wielkiém natężeniem umysłu pracował.

»Odetchnijcie sobie«, rzekł jenerał, »przejedźcie się w sandomiérskie, bo jak się już służba zacznie, to potrzeba będzie znowu fałdów przysiedzieć.«

Dla matki mojéj, która mnie od urodzenia mego zaledwo na kilka dni z oczu traciła, byłto cios okropny; życzyła jednak, żebym jechał, bo zdrowie moje wymagało tego, a gdy się nasz wyjazd przewlékał, urządził jenerał w końcu tak rzecz całą, że ciotka Leona przysłała powóz swój do Warszawy, prosząc na wszystko matkę moję, żeby ją odwidziła i przyrzekając, że ją do Warszawy sama odprowadzi, zawdzięczając grzeczność. Drugiego dnia potém byliśmy już o godzinie szóstéj z-rana za rogatkami Warszawy; szybko leciał powóz, a poczciwy jenerał odprowadzał nas do piérwszéj stacyi pocztowéj. Byłto dzień 15go maja, w gronie naszém obchodzono corocznie cichą uroczystością dzień św. Zofii, imienin matki mojéj. Jenerał nie chciał dnia tego utracić i przygotował na piérwszéj stacyi pocztowéj śniadanie, kwiatami i cukrami przystrojone. Z rozrzewnieniem przyjęła moja matka ten dowód przyjaźni jego, a radość nasza była jeszcze większą, gdy nam zapowiedział wysiadłszy z powozu, że ksiądz Pijar B*** czeka na nas w kościółku parafijalnym i będzie miał mszę świętą na intencyją solenizantki. Bardzo ucieszyło nas to, bo wyjazd był tak nagły, żeśmy nawet nie mieli czasu pożegnać księdza Pijara B***, co nas bardzo bolało. Po mszy, po śniadaniu pożegnawszy przyjaciół i dobrodziejów naszych, wyruszyliśmy w dalszą drogę. Matka moja, która od czasu śmierci ojca mojego krokiem nie ruszyła z Warszawy, czuła się bardzo ożywioną tém świeżém powietrzem majowém, widokiem łanów, wiosek i lasów; lekki nawet rumieniec okrył jéj bladą ale zawsze jeszcze piękną twarz. Nocą były grzmoty i deszczyk przekropił o świcie; do koła leżał świat świeżo, zielono, wesoło, niebo było bez chmurki, dzień bez upału.

»Wiesz« rzekła matka do mnie, »ja mam przeczucie czegoś dobrego, podobne jak miałam dzień przed twojém urodzeniem; pewna jestem, że nam ta droga na dobre wyjdzie i po myśli pójdzie, że zdrów powrócisz, że dobrze zastaniem jenerała M***, że się księciu ministrowi podobać będziecie, że wam się wszystko powiedzie

szczęśliwie, całe życie! Bo tak żywo nie czułam tego nigdy.« — O, dzień ten miał dla nas trojga, miał coś tak pięknego, tak coś tkliwego i uroczystego w sobie, iż nieraz, kiedym upadał w życiu, rzeźwiłem się wspomnieniem jego. »Wszystko się powiedzie szczęśliwie, całe życie!« i te słowa dodawały odwagi duszy upadłej. — Tu skręciła się nagle droga w lesie i odgłos wesołych trąb wojennych doleciał nas. W świetle słonecznem zaigrały lance, chorągiewki zafurkotały w majowém powietrzu, na przodzie jechał pułkownik na czele kilkunastu oficerów i gwarzył z nimi wesoło, za nim śpiewacy i pułk ułanów szedł stępo. Uprzejmie kłaniali się nam oficerowie w przejeździe, śpiewacy poczęli pieśń mijając powóz i dziwnie miłe wrażenie sprawił widok tylu rączych koni, tylu zbrojnych ludzi.

»Góry! góry!« zawołał Leon ostatniego dnia podróży, wskazując na pasmo gór Świętokrzyskich w oddaleniu i dodał: »Może i moja droga Julija patrzy w téj chwili na nie, bo z jéj okien i ogrodu widać je jak na dłoni.« Cóżto za wrażenie czyni widok gór na człowieku, który się w równym kraju wychował i prócz piasków Mazowsza, sosnowych borów i brzegu Wisły nic nigdzie nie widział! Cóżto za uczucie budzi się w piersiach, kiedy się ten wązki, błękitny rąbek na kresie widokręgu, pojawi i z każdą chwilą jakby zaczarowany kraj w oczach rośnie coraz wyżéj. Na seledynowem tle nieba odbiły się błękitne szczyty gór Świętokrzyskich, a nad niemi zawisły wysoko-śrebrnym wieńcem lekkie chmury i stały w miejscu nieruchomo. W miarę przybliżenia czarniało pasmo, błękit jego przechodził w żelazo, żelazo okrywało się niby rdzą, rdza nikła od dołu ku górze i zieloność lasów poczęła zwolna przebijać, a koło nas ożywiała się z każdą chwilą kraina; w wąwozy spadała droga, lite skały odkryły swe wnętrze, w nagłych spadkach zagrały górskie potoki po obudwu stronach.

Jeżeli się często zawiedzeni czujemy w oczekiwaniu naszém, ujrzawszy wielkie dzieło rąk ludzkich, ujrzawszy nawet utwory jenijuszu; potrzeba przyznać, że wielkie widoki natury zawsze nasze oczekiwanie przechodzą. Wyobraźnia nie ma dosyć lotu, ażeby całość takkiego obrazu skreślić mogła; skala powszednich wymiarów naszych niknie do ogromu natury przyłożona. Apolina belwederskiego i piramidy egipskie można sobie wyobrazić już z ryciny, ale proszę wyobrazić sobie burzę morską, kiedy kto nie był na morzu, lub widok ze szczytu Łomnicy, kiedy kto nie był w Tatrach!

Choćbym wam nie mówił o tém, domyślicie się zapewne, że śród tych gór i wód szumiących pokochałem Juliją, któréj duszę w dreszczy przeczuwałem, która nieraz niewidziana jeszcze na sny moje biła. Dziwna jednak rzecz! Julija była zupełnie inną, jak ją sobie wyobrażałem. Nie blada i cicha, nie zamyślona, nie rzewna ani jasno-blondyna, ani taka, jak mi się w snach zjawiła, ale wysmukła, świéża, pulchna, rumiana, wesoła i żywą niby ptak, dziecko czy wywiórka, ciemnych włosów, błękitnych dużych oczu, a nadewszystko o wiele lat młodsza, niż ja sobie wyobrażałem. — Będąc z nią, czułem, że można być szczęśliwym, nie oddając się wrażeniom głębokim i gwałtownym, ale uczuciom przelotnym, jak te chmury nad nami, powszednim i prostym a jednakże pięknym, jak uśmiéch dziecka, jak kwiat, jak gwiazda. Z każdym dniem przychodziłem więcéj do zdrowia i do sił, smutek mój niknął, z każdym dniem czułem się weselszym i tak mi dobrze było, jak gdybym wybiegł z ciała — nie miałem niby myśli ani chęci żadnych, kochałem Juliją, a przecież nie bolało serce. — W mieście wychowani, byliśmy obaj z Leonem trochę łacinnicy, jak to mówią w tém wszystkiém, o czém każdy wie na wsi, co każdy z łatwością zrobić umié, o co się na wsi nikt nie trąci. Julija śmiała się z nas za każdą razą i wykładała nam ten nowy kurs życia, z pustotą dziecka.

W ogrodzie był duży staw, ze skały leciał do niego z wielkim szumem wodospad; łabędzie pływały po stawie, a w dali słychać było turkot młyna. Julija robiła bardzo zręcznie wiosłem i miała własną małą łódkę. Co to było mozoły, zanim myśmy się obaj nauczyli wiosłem robić! Ona w małej łódce stojąca, my obadwaj w większéj krypie siedząc, baliśmy się jednak wywrotu; jak strzała leciała jéj łódka. »Łabuś! łabuś!« wołała, a za nią płynęły łabędzie z odętémi jak żagle skrzydłami, bo je zawsze sama karmiła. Daleko na środek wybiegła już jéj łódka i przybiła do kwiecistéj kępy, kiedyśmy się jeszcze bili wiosłami przy brzegu, a Julija wołała na nas: »Gońcie mnie! gońcie! poszlę wam łabędzia, żeby was poratował.« — Toż samo było z powożeniem. Julija jeździła odważnie na koniu i piękniejszą nie była nigdy, jak kiedy się zarumieniła w tym półmęzkim stroju, lub kiedy za jéj łódką płynęły łabędzie. — Codziennie przed wieczorem zachodziła dorożka, do szorów przypinali już przed gankiem jedwabną tasmę i Julija powoziła zawsze swoję ciotkę i matkę moje, a my czepialiśmy się to z tyłu dorożki, to po stopniach. I długo trwało, niż nas Julija obudwu robić wiosłem i powozić nauczyła. A co to pustoty było nieraz przy tém, jak nas nieraz wodą z wiosła niby niechcący zbryzgała, jak potém z naszéj w swoję wskoczyła łódkę, jak nam uciekła, jak my ją gonili!

Na brzegu stała zwykle moja matka i mawiała do ciotki Julii: »Patrzno, co to moje filozofy robią! Ja nie mogę ich poznać, oni rozpoczęli teraz dopiéro swą młodość przy Julii.« — »Niema nic obrzydliwszego na świecie, jak teoretycy!« mówił Leon nieraz do mnie, kiedyśmy Julii rady dać nie mogli. »Ta dziewczyna ma więcéj rozumu realnego od nas obudwu, dla tego też żartuje sobie z nas.« W istocie nie mieliśmy czego Julii nauczyć. Rozmowy, któreśmy zwykle z Leonem prowadzili, zajmowały ją, ale nie podzielała uczuć poety, który w ówczas był ideałem naszym. O Bajronie mówiła, że to zły człowiek być musiał, kiedy był taki nieszczęśliwy — a zganić zagorzałym młodzieńcom ich ideał, jestto właśnie to samo, co powiedzieć badaczowi starożytności, że jeszcze prócz starożytności może coś mieć wartość na świecie. Podobnież było i z muzyką. Julija grała parę godzin codziennie na fortepijanie, ale tylko z-rana, tylko trudne sztuki dawniejszéj szkoły, albo śpiewne opery Rossiniego, z resztą zaś wesołe mazurki i krakowiaki. Najsmutniejsza piosnka, którą umiała, byłto ów znany mazurek: »Siałem proso na zagonie i t. d.«, który ją Leon na pożegnaniu nauczył. Ja nie lubiłem Rossiniego, bladą i bez barwy wydawała mi się ta muzyka przy uczuciu mojém, przy myślach Jean Paula i poezyi Bajrona. Polonezy Ogińskiego i utwory nowej niemieckiéj szkoły, które się już w ówczas pojawiać zaczynały w świecie muzykalnym, znalazły odgłos w mem sercu, i znaczną część méj młodości poświęciłem muzyce. Julija prosiła mnie, żebym nie grał tak smutno. »Mnie boli taka muzyka«, mawiała, »bo zdaje mi się, jak ją słyszę, że pan Władysław jesteś bardzo nieszczęśliwym.« A kiedym nie przestawał grać, przerwała mi z pustotą grę — uderzyła w klawisze i zagrała mi pobudkę obozową, lub szalonego mazurka.

Tak przeminęły trzy miesiące najszczęśliwsze życia mego z Juliją śród muzyki i czytania, śród przejażdżek, rysunków i zabaw różnego rodzaju w miłem, wiejskiém zaciszu.

Tymczasem kilka miejsc zostało oprózuionych w biurze księcia ministra podczas niebytności naszéj i jenerał M*** nalégał, żeby wracać do Warszawy; wyjazd nasz jednak przewlókł się jeszcze miesiąc prawie. W tym czasie zaszła wielka zmiana w Julii i we mnie. Kiedy się dowiedziała, że wyjeżdżać mamy, zbladła jak chusta i przy wszystkich nie mogła się od łez wstrzymać. Zesmutniała, nie jeździła więcéj na łódce, nie goniła łabędzi po stawie, nie sypiała po nocy, często skarżyła się na ból głowy, często miała zapłakane oczy; słuchała cierpliwie, kiedym jéj grał po całych wieczorach smutnie i żałośnie. — I moja wesołość, która tylko chwilowém omamieniem była, znikła, a w sympatyi uczuć pociągnąłem za sobą Juliją w głęboką otchłań tych czarnych myśli tajnego jakiegoś przeznaczenia, które młodość moję zdręczyły! — Z niespokojnością patrzyła ciotka na Juliją, Leon milczał — matka moja cieszyła się nią jak dzieckiem, bo widziała, co się we mnie działo, czém Julija dla mnie była. — Smutny był wieczór przed odjazdem, wszyscy czuliśmy wielki ucisk na sercu, i wiedzieliśmy wszyscy, co tak mocno ciężyło, lubo nikt o tém nie mówił.

Wieczór był cichy i piękny, drzwi śklanne stały do ogrodu otworem. Roje święto-jańskich robaczków pełzały po krzewach, w dali szumiał wodospad i turkotał młyn. — Matka moja wzięła Juliją za rękę i wyszła do ogrodu, ja udałem się za niémi. Krętą ścieżką szliśmy zwolna wzdłuż stawu, gwiazdy drżały w cichych falach, przy brzegu drzymały łabędzie. — O jak trudno jest mówić wówczas, kiedy czujemy, iż to wszystko, co powiedzieć można, co powiedzieć wolno, jest kłamstwem w obec własnych uczuć, i kłamstwem nietajném drugim. — »Julciu«, rzekła matka moja, »jak my odjedziem, to ty zapomniesz o nas?« — »O nigdy! nigdy w mojem życiu!« mówiła Julija z-cicha, tuląc się do méj matki i posłyszałem jéj łkania. »Władziu!« rzekła matka do mnie, »daj ten pierścionek Julci na pamiątkę, to pierścionek ślubny twéj babki, a ona była szczęśliwą.«

Moi przyjaciele! nie żądajcie odemnie opisu téj chwili, wszakże każdy z was musiał kochać i każdy miał matkę — każdy zna wagę jéj błogosławieństwa... Pod błogosławieństwem przysiągłem matce, że nigdy nie opuszczę Julii. — Gdziem tę noc przepędził, co się ze mną działo, kiedy nazajutrz rozstawać się przyszło, jak się do Warszawy dostałem, o tém wszystkiém nie umiem zdać sprawy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 29. i obejmuje: 1) Słów kilka o nawozach. 2) O sposobie ochronienia dachów słomianych od zgnilizny, i ubezpieczenia ich od ognia. 3) Widoki dla producentów bardzo cienkiej wełny. 4) O niezbędnej potrzebie zbudowania kolei żelaznéj wzdłuż kraju naszego. (Dokończenie). 5) O kontraktach tegorocznych lwowskich. 6) Sprawozdanie o jarmarku na wełnę we Lwowie.

Ner. 14. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Wspomnienia Semenowych powieści, przez W. Pohla, część druga. 2) Tęsknota, wiersz J. D. 3) Nieco o Francyi. (Ciąg dalszy.) 4) Teatr.

Lwowianina, przeznaczonego krajowym i użytecznym wiadomościom, wydawanego w połączeniu prac miłośników nauk, zeszyt dziesiąty opuścił prasę dnia 1go lipca roku bieżącego.

Mylnie donieśliśmy w przeszłym numerze »Rozmaitości« o nowym poecie p. Witalisie Kukułce; ten albowiem jest tylko wydawcą poezyj jakiegoś Józefa z Sidorowa. Poezyje te, które wkrótce prasę opuścić mają, składają się z dwóch oddziałów, jeden pod napisem: *Do pięknéj dziewczyny ze Szlązka*; drugi pod tytułem: *Wanda i kwiaty*.

W Krakowie wyszła w nowem wydaniu powieść: *Nieszczęścia najszczęśliwszego męża* przez A. F. Twór ten wesołéj dowcipnéj muzy jenijalnego pisarza, dawno podobnoś w piérwszém (lwowskiém) wydaniu wyczerpany, zasługiwał ze-wszech miar na powtórne ukazanie się czytającemu światu, zwłaszcza tym, którzy w czytaniu szukają rozrywki, ileże najnowsze płody tego rodzaju literatury naszéj, jak *Humoreski*, *Pisma przedślubne* i t. p. nie bardzo są rozrywające. *S. J.*

Wizerunek Niemcewicza pędzla Grosa. Jeneralowa Rautenstrauch w *Ostatniéj podróży do Francyi* powiada: »Jeden z najpiękniejszych portretów zdobiących luwrońskie wystawy, był wizerunek Niemcewicza, przez przyjaciela jego malarza Gros wykonany. W tym obrazie rzetelnéj kunsztownéj wartości, nie ubiegano się bynajmniéj o wszystkie drobnostki, wabiące pułlubownika i późnawcę. Niemcewicz naturalnéj wielkości, siedzi, a obie ręce z krzyżowanémi palcami o kolano opiera. W oddaleniu łuna jakiegoś dogorywającego pożaru, swym odblaskiem twarz starca objaśnia. Podobieństwo i wyraz zachwycające. Malarz to swe dzieło chciał ofiarować poecie. Niemcewicz przez wzgląd na wielką cenę daru, przyjąć go się wzbraniał. Lecz niebawnie potem, gdy Gros widząc, że go moda całkiem opuściła, że daleko mniejszéj wartości artyści sławę jego zatarli, a nie mogąc jéj przeżyć, życie sobie odebrał, pozostała wdowa ponowiła ofiarę, która tą razą, jako pamiątka po dawnym przyjacielu, została przyjętą. Piękny ten obraz zdobi teraz salon księcia Czartoryjskiego.« (W tém miejscu winniśmy dodać, że u malarza naszego p. Rajchana jest do widzenia wizerunek głowy Niemcewicza, którą pod czas pobytu swojego w Paryżu z natury odmalował).

Najnowsza moda w Paryżu. Wiadomo, że w Paryżu wszystko podlęga modzie, nietylko ubiory, ale także smak, zasady i uczucia. I tak utrzymują, że tam obecnie także miłość, owa to prawdziwa, dawna, wyłączna, niekiedy szalona ale spaniała miłość w modę wchodzi. Słowem, Paryż w tym roku daje pierwszeństwo miłości trubadurów. Pogardzająca szkoła Bajrona sama siebie przeżyła. Byłoto rzeczą bardzo dogodną udawać, żeśmy się wszelkiego omamienia pozbyli, uchodzić za człowieka, który już żadnej złudy nie zna, który kochać nie chce dla tego, że już do żadnéj zagorzałej uległości zdolnym nie jest; wtedy wygodnie odpoczywano sobie na sofie i przybierano nudną, obojętną minę. Atoli gnuśni ci Don Juanowie, ci sentymentalni Lazaronowie, spostrzegli nakoniec nieprzyjemne swe położenie i przekonali się, że młode dziewczęta chcą być proszone o miłość, i że obojętnych kawalerów bynajmniéj o kochanie prosić nie myślą. Skoro więc to spostrzegli, zaraz się do miłości trubadurów wrócili, w któréj ojcowie ich tak słodkie chwile spędzali. Tym sposobem powrócił znowu piękny czas długich, sentymentalnych, słodkich bilecików i bukietów; jakoż widzimy ich już pod oknami wieczorem, śpiewających piosnki, idących na dalekie przechadzki, by tylko swego serca kochankę zobaczyć, i wracających do domu, by słodko o niéj dumać.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.